

DWAITY GODNIK NIEOBIEKTYWNY



28.11.2023

GAZETKA SZKOLNA
WŁADYSŁAWA IV

NR
19

GAZETKA SZKOLNA

VIII Liceum Ogólnokształcące im. Władysława IV

Redaktor naczelny:

Amadeusz Kozikowski [III A]

Zastępczynie redaktora naczelnego:

Marysia Słowiańska [II F]

Milena Podolak [II B]

Artykuły:

Milena Podolak [II B]

Andrzej Woźniak [IV A]

Wiktor Kucharski [IV A]

Kinga Topczewska [III A]

Zosia Pawlak [II A]

Martyna Kowalczyk [II D]

Ola Zieniewicz [II C]

Monika Bitner [IV A]

Amadeusz Kozikowski [III A]

Grafiki:

Lena Pachocińska [IV A]

Lena Gołębiowska [II E]

Ola Zieniewicz [II C]

Korekta:

Pola Jendra [II A]

Zdjęcie do okładki:

Kacper Błażejewicz [IV D]

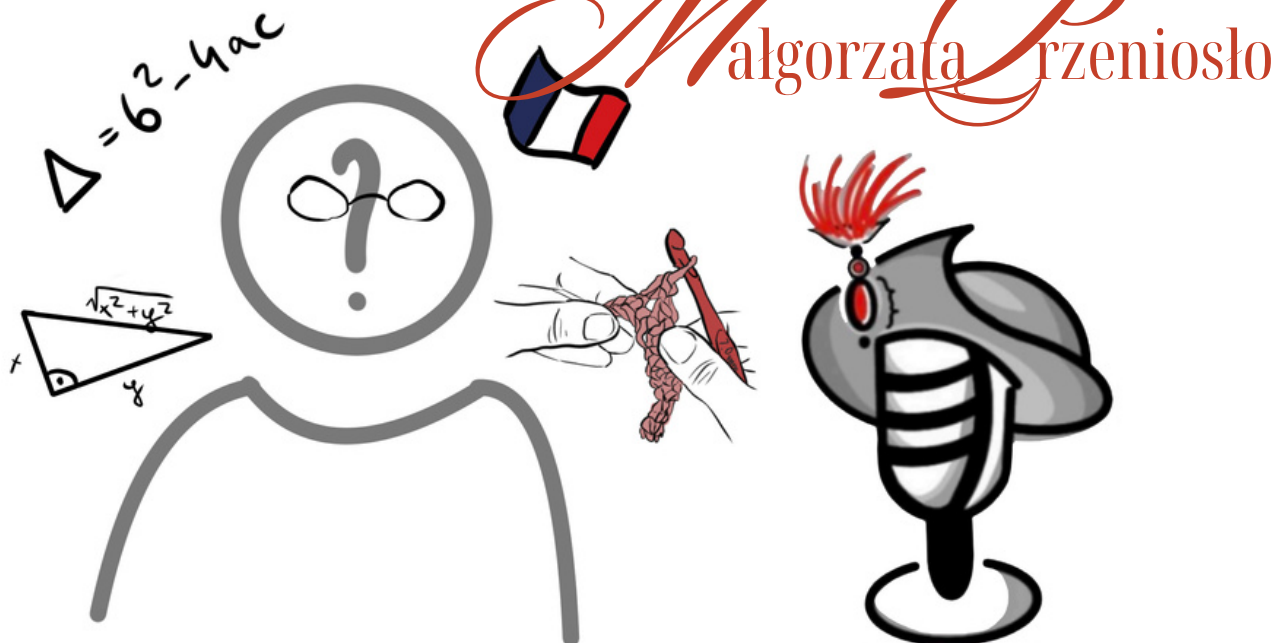
Składanie gazetki:

Marysia Słowiańska [II F]

Opieka merytoryczna:

dr Marta Rojewska

Wywiad z Panią Profesor



Milena Podolak, Amadeusz Kozikowski

Jak to się stało, że postanowiła Pani związać swoją przyszłość z matematyką?

W szkole podstawowej lubiłam wszystkie przedmioty i nie miałam problemu z żadnym, jak większość nauczycieli. Natomiast poszłam do liceum do klasy matematyczno-fizycznej, ponieważ w moich czasach mówiło się, że taka klasa daje najszersze perspektywy. Uczeń po klasie ósmej nie wie, co chce robić, nie do końca jest przekonany, więc wybiera profil taki, gdzie będzie mógł się rozwinąć wszechstronnie, a po matfizie ma te perspektywy najszersze. Tak trafiłam na wspaniałą nauczycielkę matematyki, starszą panią cieszącą się dużym autorytetem, taką bardzo charyzmatyczną i rzeczywiście matematykę kochałam, a dzięki tej kobiecie poszłam na wydział matematyki. Czyli dokonałam wyboru: matematyka czy zdecydowanie matematyka. Przez moment się zastanawiałam nad fizyką, ale fizyka okazała się za trudna. Natomiast wybrałam matematykę wcale nie z myślą o byciu potem nauczycielem, tylko jako przedmiot, który wymaga dyscypliny, logicznego i spójnego myślenia, a jednocześnie nie wymaga uczenia się na pamięć, czego ja nie znoszę. Zawsze mówię, że matematyka jest trochę nauką dla leniwych, bo jak się zrozumie, to nie trzeba wcale dużo liczyć. Taki był pomysł.

A dlaczego akurat zawód nauczyciela?

Ojej... to jest piękny zawód! Wybrałam go z kilku powodów. Bezpośrednim impulsem był przypadek. W listopadzie, na piątym roku studiów, przyszła na jeden z wykładów moja koleżanka i zapytała, czy ktoś nie chciałby pójść na zastępstwo do Liceum Reytana, bo tam nauczyciel się rozchorował i trzeba szybko znaleźć zastępstwo, a ona zna dyrektora, który jest zresztą nauczycielem matematyki. Zgłosiliśmy się w trójkę: ja i moich dwóch kolegów. Poszliśmy na rozmowę i od następnego dnia każdy z nas miał jedną klasę. Okazało się, że po pierwsze trochę mi się to spodobało, dostałam wtedy pierwszą klasę do uczenia, taką klasę po dwóch miesiącach szkoły, to było jeszcze liceum czteroletnie. Jednocześnie ja się chyba spodobałam, bo od drugiego semestru miałam już wszystkie trzy klasy, te moich dwóch ko-

legów też, co im się nie spodobało i którzy się nie spodobali z różnych względów. Na koniec roku szkolnego Pan Dyrektor zaproponował mi, że jak skończę studia (wtedy nie można było bez ukończenia studiów pójść do pracy jako nauczyciel), obronię pracę magisterską w terminie, czyli w czerwcu, to od września będę miała etat w szkole. I proszę bardzo, tak zostałam nauczycielem. To jest taka bezpośrednia sytuacja, natomiast nie było to takim moim super planem, bo kontynuuję tradycję rodzinną, moja mama jest nauczycielką (choć nie matematyki; w tej chwili emerytowaną) i odradzała mi, zresztą jak cała rodzina, mówiąc, że ten zawód jest bardzo trudny, ma wiele plusów ujemnych, wad i żeby tego nie robić. Ja chciałam skończyć studia matematyczne i pójść studiować coś innego, inny kierunek, może trochę pokrewny, może zupełnie inny, tak po prostu. Ale wyszło jak wyszło i nie żałuję, wciągnęło mnie to, bo to jest praca bardzo satysfakcjonująca, natomiast początek był taki jak wiele rzeczy w życiu, przypadkowy trochę, a może trochę opatrnościowy.

Zawód nauczyciela jest moim zdaniem bardzo istotny, kształtuje młodzież. Chyba wszyscy tak mają, że coś w nich zaszczepili właśnie nauczyciele...

W matematyce, w przedmiotach ścisłych ten „mistrz” jest moim zdaniem niezbędny. I to już od najmłodszych lat. Uważam, że dzieci w szkołach podstawowych, w klasach 1-3, czyli nauczaniu początkowym, powinny mieć nauczyciela, który rozumie i potrafi uczyć matematyki. To jest bardzo ważne. Matematyki się uczymy jak jesteśmy młodzi. Ludzie tacy 30-letni to jest moment, w którym krzywa uczenia matematyki stabilizuje się, nawet zaczyna spadać, a wchodzi przedmioty humanistyczne, które wymagają szerszej wiedzy, takiego szerszego spojrzenia na życie i doświadczenia życiowego, przeczytania wielu lektur, przemyślenia wielu spraw. A matematyka czy w ogóle nauki ścisłe są dla ludzi młodych, sprawnych. W przedszkolu, klasach młodszych szkoły podstawowej, dzieciaki powinny być uczone matematyki. Niestety różnie to bywa. Bardzo wiele osób nie lubi matematyki, idzie do nauczania początkowego, obawia się jej, nie jest pewnym albo uczy tak algorytmicznie, nie pozwala na fantazjowanie, a to trzeba robić. Mój sztandarowy przykład, to już uczniowie wiedzą, że powinniśmy uczyć dzieci liczenia klocków: zero klocków, jeden klocek, dwa klocki, zero jako brak. Wtedy poznajemy liczby naturalne i naturalne dodatnie. Również rozpoznawania kształtów, łączenia w zbiory, powinno się matematyzować rzeczywistość od najmłodszych lat, tak uważam. To nie jest żart, to jest poważna sprawa, tak jak dziecko powinno rozwijać się wszechstronnie, tak w dziedzinie matematyki też.

Skoro jesteśmy w dziedzinie matematyki, to który dział matematyki jest Pani ulubionym i dlaczego?

Z różnych względów i z różnych powodów różne. To zależy, co to znaczy ulubiony. Ulubiony, bo ja najbardziej lubię czy ulubiony, bo lubię tego uczyć? Można to rozdzielić. Osobiście lubię geometrię, bo w geometrii każde zadanie jest troszkę inne i zadania można zrobić tak, że nie będą nudne. Czyli coś się z czymś łączy, trzeba coś dorysować, komplikować i wizualizować rzeczywistość. Nie lubię takich rzeczy stricte odtwórczych: wstaw do wzoru, zastosuj wzór, jak zastosujesz to masz algorytm nr 3, z niego wyciągniesz twierdzenie piąte i tak dalej, i tak dalej. Tego nie lubię, bo to jest nudne. Nie lubię takiej matematyki, gdzie trzeba wykonywać tylko obliczenia, rachunki, bo wydaje mi się, że to jest żmudne. Natomiast uczyć lubię takich rzeczy, gdzie można różne rzeczy łączyć, czyli na przykład w klasie trzeciej funkcja wymierna, przy okazji której można wrócić do pewnych własności, połączyć z czymś, tak zsyntetyzować. Nie lubię takiego uczenia dla uczenia, robienia zadań na sztuki. Ja osobiście lubię geometrię, natomiast uczniowie to nie wiem. Na pewno uczniowie nie lubią trygonometrii. Nie do końca to rozumiem, mnie ona nie przeszkadza, nie męczy. Bardzo lubię uczyć rachunku prawdopodobieństwa, bo tam można poprowadzić ciekawą dyskusję, aczkolwiek niektórzy

uczniowie tego bardzo nie lubią. To jest dział, który bardzo polaryzuje grupę, polaryzuje klasę, są osoby, które z tego są świetne, a są osoby, które są słabe. I to wcale nie dlatego, że są słabe z matematyki, tylko nie czują. Więc po tylu latach ciężko jest powiedzieć, co się bardzo lubi, a co nie. Jest jeden z tematów, których nie znoszę: zadania z wydajnością i robotnikami, mogę się przyznać, że tego nie lubię, po prostu nie lubię i uważam za nudne, ale uczę.

W naszej gazecie ukazują się Władysława, czyli cytaty nauczycieli. Pani cytaty pojawiają się tam bardzo często. Czy ma Pani jakieś swoje ulubione powiedzenie?

Uczniowie doskonale wychwytyją moje powiedzonka. Co ja takiego mówię? „No nie można całe życie nic nie robić” – to moje ulubione, jedno z częściej używanych określeń, bo taka jest po prostu prawda. Często chyba mówię, że „matematycy są ludźmi leniwymi, dlatego tutaj nie będą liczyć tego trzy razy, tylko pójdą na skróty”. Że „najpierw trzeba myśleć, a potem robić”, oraz „wymnożyć zawsze zdążysz, a najpierw się zastanów”. Klasa 4A wychwyciła, że w zeszłym roku nadużywałam powiedzenia „Nie trzeszczcie, przestańcie trzeszczeć”, natomiast generalnie staram się trochę obrócić to w żart, zbagatelizować niektóre rzeczy, ale nie obrażać młodych ludzi i raczej powodować, żeby oni zauważyli sytuację i chętnie przychodzili na moje lekcje. Czy mi się udaje? Oceńcie sami. Raczej w tę stronę idę i nie jestem typem nauczyciela-terrorysty. Lubię jak uczniowie ze mną nawiązują kontakt, bo po to ja tu jestem. Jestem tu dla was, dla mnie trochę też, bo muszę z czegoś żyć, ale generalnie jestem dla was i ja wam próbuję pomóc. Nie lubię sobie rozwiązywać zadań, tylko lubię jak uczeń mnie słucha, ze mną dialoguje, grupa reaguje. Cenię sobie pewną swobodę, nie chcę, by uczniowie siedzieli na baczność, był rygor, bo to nie pomaga. Musi być pewna swoboda, ale nie znoszę przekroczenia granicy, że uczeń stara się mnie oszukać, ściągać, skłamać, na to mam alergię, staram się działać uczciwie.

Wychodząc z tematyki szkolnej, co lubi Pani robić w wolnym czasie, gdy nie trzeba układać ani sprawdzać sprawdzianów?

Ja mam mało wolnego czasu... ale trochę mam. Bardzo lubię taki spokojny, wakacyjny czas. Lubię podróżować, ale tak, żeby coś obejrzeć, zwiedzić, mieć nowe wrażenia. Może te podróże są dziwne albo nie dziwne, na przykład podróż z namiotem do Skandynawii, kamperem do Norwegii czy objazd południowej Europy ze znajomymi. Lubię też, niestety coraz mniej mogę, pojechać sobie na tydzień w góry, pochodzić troszkę. To wymaga trochę sprawności fizycznej, pogody i zapału, jest takie wakacyjne. Natomiast jak się relaksuję? Niestety w czasie roku szkolnego nie mogę dużo czytać, bo tyle rzeczy służbowych czytam, że nie daję jeszcze rady, żeby się zająć lekturą i odkładam to na czas wolny jak weekendy, wtedy siadam i potrafię się zatopić w jakiejś fajnej książce czy czymś fajnym. Jak mam troszkę wolnego czasu, to Państwo wiedzą, że robię sobie dużo rzeczy na drutach i na szydełku. Ja w ogóle lubię takie rzeczy artystyczne, nie wiem czy to fajnie czy niefajnie, ale to lubię. Wróciłam do rękodziela po bardzo długiej przerwie, po pandemii i to mi faktycznie daje satysfakcję. To jest taki relaks, można włączyć sobie muzykę, audiobook. Lubię również teatr, kino, zrobić coś z ludźmi, nie zajmować się szkołą, zadaniami z matematyki, które bardzo angażują, ale taka jest szkoła, taki jest świat.

Jaka jest w takim razie Pani zdaniem największa zaleta, a jaka największa wada zawodu nauczyciela?

Trudno powiedzieć. Uważam, że dużą zaletą jest to, że człowiek przebywa z ludźmi młodymi, oczywiście jest coraz starszy, ja jestem coraz starsza, coraz więcej mnie dzieli, różni od pokolenia współczesnych licealistów, ale pracuję z młodzieżą i nie nudzę się. Każdy dzień

jest inny, każda grupa jest inna, ludzie potrafią coś wymyślić, powiedzieć. Wymaga to elastyczności, dostosowania się, trzeba coraz bardziej być psychologiem, pochylić się nad kimś, kto nie jest zadowolony, bo mu coś nie wyszło albo ucieszyć się z nim z jakiegoś sukcesu. Tu we Władysławie IV kontaktujemy się też z innymi nauczycielami i to jest bardzo fajne, bo są to bardzo ciekawi i wartościowi ludzie, każdy z nauczycieli jest na pewno osobą, z którą bardzo chętnie czas spędzam i rozmawiam. Każdy jest wysokiej klasy osobowością, specjalistą nie tylko w swojej dziedzinie, ale w ogóle bardzo ciekawym, wartościowym człowiekiem. Czyli główną zaletą bycia nauczycielem jest właśnie to, że przebywa się z młodymi i ma ciekawą pracę, robi się to, co się lubi. Wadą jest pewna sztywność. Wakacje są w wakacje, urlop jest w wakacje, nie można mieć urlopu, nawet jednego, dwóch dni wolnych jak człowiek tego bardzo potrzebuje, bo ma jakąś trudną sytuację prywatną. Trudne jest chyba też to, że ten zawód jest postrzegany przez część osób tak z lekka lekceważąco, to jest irytujące. Ja nie czytam, staram się nie czytać tego, co tam piszą o nauczycielach, dwa razy w roku zwykle piszą: na początek wakacji i po wakacjach, nie biorę tego do siebie, natomiast jest to irytujące. Moich znajomych, którzy wygłaszają różne uwagi zapraszam na jeden dzień, zwykle mam siedem lekcji, niech sobie siądą z tyłu i zobaczą jak to fajnie i jak to łatwo. To jest praca fizyczna, nie tylko umysłowa. To jest wadą, natomiast w tej chwili lubię uczyć, mi to sprawia frajdę, więc nie szukam jakichś problemów. Jakbym widziała same wady i nie chciała uczyć, to bym nie uczyła. Trzeba patrzeć na świat pozytywnie, każdy wykonywany zawód, każde zajęcie, każdy rodzaj pracy ma swoje wady i zalety. Trzeba widzieć rzeczy pozytywne, a nie tylko negatywy, bo człowiek nastawiając się negatywnie przekazuje to nastawienie uczniom, ludziom, z którymi współpracuje i to też nie jest fajne. Trzeba patrzeć optymistycznie, tym optymizmem зараżać, naprawdę łatwo się to ludziom daje.

To jest drugi rok Pani pracy tutaj, wcześniej pracowała Pani w innych szkołach. Co było powodem, że wybrała Pani Władka?

To jest trzecia szkoła, w której pracuję. Jak na ponad 30 lat, to to nie jest dużo. Pierwszą szkołą był Reytan, tak jak powiedziałam. Potem pracowałam długie lata w Zamoyskim i teraz jestem we Władysławie IV. Szukałam szkoły, gdzie będzie ciekawa młodzież, czyli taka, która chce się uczyć, ważne też było, żeby była matematyka rozszerzona, bo szkoła, gdzie jej nie ma jest dla mnie trochę za trudna, mam kłopot z tym, by uczyć tylko matematyki podstawowej. Jestem w stanie to robić, ale nie daje to aż takiej satysfakcji. Wiele osób się nie chce uczyć i jest inny rodzaj problemów. Chciałam ciekawego miejsca pracy i tak sobie pomyślałam: Władysław jest bardzo atrakcyjną szkołą, fajną szkołą, wiele dzieci moich znajomych chodziło tutaj, chwalili, więc jak się dowiedziałam, że jest miejsce, to jestem i robię to, co lubię.

Nie żałuje tego Pani?

Nie, absolutnie nie żałuję, jest to bardzo fajne miejsce pracy i społeczność, dużo się tu dzieje. To, czego mogę żałować, to że nie przyszedłam tutaj wcześniej. Z każdą ze szkół jestem związana i spędziłam tam fajne lata swego życia, natomiast jest taki moment, że z różnych przyczyn człowiek chce dokonać zmiany i dokonuje tej zmiany. Nie robię tego często, więc jest to stresujące, ale nie jest to paraliżujący strach, działa to mobilizująco, odkrywa się pewne nowe rzeczy, zmienia się coś w życiu.

Kiedyś wspomniała Pani, że mieszkała Pani we Francji. Czym się tam Pani zajmowała i jak wspomina ten czas?

Na skutek dziejowych, życiowych, rodzinnych sytuacji byłam osobą towarzyszącą mojemu

mężowi w jego służbowych wyjazdach. Mieszkałam przez rok w Niemczech, na pograniczu niemiecko-francuskim i mieszkałam też prawie półtora roku we Francji, w Grenoble. Co tam robiłam? Nie pracowałam, co rzeczywiście było trudne. Teraz się wydaje to takie łatwe nie pracować, to było dawno, z 20 lat temu. To jest fajne i niefajne. Uczenie jest fajne, może nie dwa czy trzy etaty, ale na trochę. Masz kontakt z ludźmi, robisz coś istotnego. Natomiast to były takie wakacje z klasycznymi sytuacjami prowadzenia domu, zajmowania się dzieckiem. We Francji mieliśmy bardzo dużo czasu, bo środy w szkołach podstawowych są wolne, więc można pojechać na jakąś wycieczkę, obejrzeć coś, my oczywiście bardzo intensywnie podróżowaliśmy i oglądaliśmy. Dla mnie to też było fajne, bo w liceum się uczyłam francuskiego i wtedy mi się wydawało, że to jest bez sensu, ubolewałam nad tym, że muszę się uczyć francuskiego i po co mi to, ale za moich czasów tak było, że każdy myślał, że nie będzie mógł wykorzystać kiedyś ten język. Później się okazało, że na pograniczu niemiecko-francuskim jak się nie zna niemieckiego, to nie jest łatwo, ale jak się zna francuski, to jest trochę lepiej i człowiek sobie poradzi. A potem się okazało, że we Francji to już w ogóle sobie człowiek poradzi, bo Francuzi nie lubią mówić w innym języku. Ja mam pewien sentyment do Francji i bardzo mnie niepokoi, że sytuacja tam jest teraz taka niepewna, że nie jest bezpiecznie, nie można sobie swobodnie podróżować, bo dwadzieścia trzy lata temu było lepiej. Nie czułam się źle, Grenoble to takie miasto, gdzie mieszka ok. 200 tys. ludzi, jest aglomeracją, bardzo ładną, w górach. Płaskie miasto otoczone wysokimi górami, więc naprawdę fajnie. Tak sobie byłam, chodziłam na lekcje francuskiego, zwiedzałam, oglądałam różne rzeczy, czytałam dużo, bo już był ten Internet, można było przez telefon porozmawiać, więc korespondowałam z różnymi ludźmi. To był taki rok w pewnym sensie wakacji. Potem wróciłam do pracy z radością, to było takie budujące, rozszerzające horyzonty i zmieniające spojrzenie na szkołę doświadczenie. Okazało się, że różne rzeczy nie muszą być konieczne tak jak w Polsce, bo w szkole francuskiej jest inaczej. Nie ma na przykład uroczystego rozpoczęcia roku szkolnego, tylko pierwszy dzień szkoły jest taki jak drugi. Nie ma stroju galowego, szkoła nie ma sztandaru. Nie mówię, że to jest lepiej, ale inaczej, nabiera się pewnej elastyczności. Można robić tak, można robić inaczej i dlaczego to wartościować? Dlaczego to ma być gorzej? Może i tu, i tu jest dobrze? Są to pewne doświadczenia, które budują jakieś przyjaźnie, mam do tej pory znajomych, dwadzieścia parę lat korespondujemy, bywamy u siebie. Podciągnęłam swój język francuski, choć akcent dalej trochę mam bardziej polski.

Jak kiedyś Pani coś mówiła, to nie było słyhać... Ja też się uczę francuskiego, bardzo lubię ten kraj, już trzy razy byłam we Francji, w różnych miejscach: w Alzacji, Paryżu i bardzo mi się podobało. Dlatego się uczę, żeby potem coś z tym wiązać dalej...

Francuski to bardzo ładny język, chociaż Francuzi są trudną nacją, tak generalnie, bo nie chcą się uczyć innych języków. Nie lubią angielskiego, uważają, że francuski im wystarczy i nie lubią jak ktoś kaleczy język, nie są otwarci. Polacy są otwarci, jak ktoś mówi po polsku, nawet słabo, to my się staramy go zrozumieć, bo nauczył się naszego trudnego języka, a wielu Francuzów stoi z założonymi rękami i czeka aż powiemy zdanie poprawnie i jeszcze ładnie zaakcentowane, jakby się nie można było domyśleć, co ja chcę powiedzieć. A słownictwo, na przykład szkolne słownictwo, jest specyficzne. Człowiek z ulicy nie wie jak się tam mówi na klasówkę albo coś innego, to nie jest takie proste. Ale to też rozszerza różne horyzonty i pozytywnie to wspominam, chociaż wtedy pamiętam, że byłam niezadowolona, że muszę znaleźć pracę, a teraz z perspektywy czasu myślę sobie, że fajnie było, naprawdę było fajnie. Bardzo lubię też francuską kuchnię.



Wywiad z

Wiktorem

Ucharskim

Milena Podolak, Amadeusz Kozikowski

Jak to się stało, że zdecydowałeś się założyć gazetkę szkolną?

To jest dosyć ciekawa historia, bo wszystko się zaczęło od żartu. Kiedyś na lekcji WOS-u, w drugiej klasie (my byliśmy świeżo po pandemii jako klasa) wróciliśmy do szkoły, przychodzi Pani Klinger do szkoły, bo myślała, że miała lekcję w 211, i zaczyna opowiadać o Marku Telerze, który jest absolwentem tej szkoły, a obecnie dziennikarzem. Zaczęła coś mówić o wywiadach, a moją klasę jakoś rozbawiła ta historia o wywiadzie i mój kolega z ławki, Andrzej Woźniak, który później napisał wiele artykułów do gazetki (między innymi top szóstki) rzucił do mnie żart „ej, ale by było fajnie zrobić wywiad z Panią Profesor Rojewską”, a ja mówię: „Zrobię to!”. I ta myśl we mnie zaczęła kiełkować. Wiadomo było, że Igor będzie startował na przewodniczącego, że ma już jakiś skład samorządu, więc zacząłem mu zawracać tym głowę. Mówiłem mu o tym przez 3 miesiące, bo wybory były w marcu, jeśli dobrze pamiętam, od stycznia coraz częściej mówiłem, że musi zrobić gazetkę, a ja będę przewodniczącym. Przez dwa miesiące Igor udawał, że nie istnieje, ale w końcu tuż przed końcem kampanii, co zresztą można było zobaczyć w starych postach Inicjatywy (niestety skrzętnie je ukryli), że gazetka została wstawiona na końcu tych postulatów, bo udało mi się w końcu go przekonać. On uważał, że mi się odwidzi po dwóch tygodniach, ale ja miałem ambicje, chciałem zrobić wywiad z Panią Profesor Rojewską. No i od razu jak nowy samorząd się ukonstytuował to przyszedłem do Igora z regulaminem gazetki.

Co było najtrudniejsze w roli Redaktora Naczelnego?

Wydaje mi się, że rola Redaktora Naczelnego (powodzenia dla przyszłych redaktorów tak w ogóle, są świetni, słuchajcie ich i za nimi podążajcie – to dla gazetkowiczów) była trudna w

kwestii czasu i samozaparciu. Czasu dlatego, że, zwłaszcza na początku, gazetka zabierała mi mnóstwo czasu wolnego. Na szczęście byłem w drugiej klasie, więc jeszcze miałem go trochę, bo później jest gorzej (przykro mi drugoklasiści, ale lepiej nie będzie). To jest takie popularne kłamstwo, że w pierwszej klasie mówi się, że w drugiej będzie lepiej; w drugiej, że w trzeciej; w trzeciej, że w czwartej, a w czwartej już przestaje się mieć wątpliwości. Co do zasady poświęcałem dużo czasu, bo początkowo „Dwutygodnik” faktycznie wychodził co dwa tygodnie. Wydawaliśmy wydanie i już mieliśmy plan na następne, tydzień później musiało być wszystko gotowe i czasem było tak, że ja wysyłałem do Pani Profesor artykuły w środku nocy do zatwierdzenia, wtedy okazywało się, że są niesprawdzone przez korektorów i musiałem poprawiać to ortograficznie i stylistycznie. Walka z czasem często była trudna. Druga kwestia to samozaparcie. Miałem jakąś wizję tej gazetki, czy mi wyszła czy nie, to jest wątpliwe, ale co do zasady mi raczej wyszło. Ale to była walka na zasadzie, że każdy ma inną wizję, jak powinna wyglądać i długo się ścierałem z różnymi członkami samorządu o to. Nie będę wchodził w szczegóły, ale wyszło ostatecznie na moje. Gazetka, co zresztą można zobaczyć w różnych wydaniach, ewaluowała i jej koncept również. Od opublikowania czego tylko można, czego świetnym przykładem będzie historia z pierwszym Tygodniem Kultury, bo tuż po powstaniu gazetki był Tydzień Kultury, a jako drugoklasiści nie wiedzieliśmy o jego istnieniu, więc się nie przygotowaliśmy się. W efekcie pojawił się tylko artykuł o Kawiarence i drugi o PMT (ten już w ogóle w następnym wydaniu). Historia jest taka: przychodzi do mnie Pani Klinger w ciągu roku i mówi mi, że załatwiła dla mnie wywiad z Panią Rigamonti. A ja nie wiem, kiedy miało być z nią spotkanie, więc pytam o to, a w odpowiedzi słyszę, że dzisiaj i przecież było o tym we wszystkich mediach szkolnych. Miałem takie: „Pani Profesor, ja nie mogę dzisiaj, po prostu nie mogę dzisiaj”. No i pewnie przepadł mi jeden z fajniejszych wywiadów, które mogłyby pojawić się w historii gazetki, bo byłyby z profesjonalnym dziennikarzem. Szkoda. Ale mam wywiad z Panią Profesor Martą Rojewską, więc to najważniejsze. Więc ważna jest koncepcja i ścieranie się charakterów, bo czasem połała się krew, ktoś odszedł z gazetki, czasem pół klasy obraziło się na mnie, bo uważało, że drużyna klasowa na Lidze Władka została źle opisana, ale ostatecznie udało się utrzymać to i myślę, że charakter jest bardzo ważny w tej pracy po prostu.

Czy jest jakieś wydanie, które szczególnie wspominasz i jeśli tak, to dlaczego?

Są dwa wydania, o których warto wspomnieć. Pierwsze jeszcze z czasów, gdy gazetka ukazywała się co dwa tygodnie, czyli wydanie piąte. Jestem trochę egoistą i dla mnie najbliższ serca był mój artykuł „Łosie mają poroże”. To był artykuł z wycieczki klasowej i generalnie dwie klasy (moja i równoległy biolchem) powiedziały, że mam koniecznie uwzględnić tę historię w gazetce albo zrobią bojkot. Jako że wtedy nie było zbyt dużego finansowania w gazetce i drukowałem to u siebie w drukarce domowej, to się trochę przestraszyłem i naprawdę napisałem ten artykuł, ale wyszedł mi świetnie. Przez następny tydzień jeszcze mnie chwalili za niego. A drugie wydanie to był upragniony wywiad z opiekunem gazetki szkolnej, bo od tego gazetka się zaczęła. Ja miałem zakład, że zrobię to przed końcem pierwszej kadencji Inicjatywy. Te dwa wydania przed wyborami w ogóle były bardzo ważne, bo były z tym związane duże emocje – na redakcję było dużo nacisków o sondaże, na to, że były fałszowane, a powiem to jeszcze raz – były fałszowane, nie będę przypominał przez kogo, ale były i dużo osób z różnych środowisk patrzyło na mnie wilkiem. Ale to było najczęściej czytane wydanie w historii gazetki.

Z którym nauczycielem najlepiej Ci się prowadziło wywiad?

Z Panem Profesorem Walczakiem. To był koniec roku i wszyscy uczniowie wiedzieli, że Pan Profesor nie będzie już pracował w tej placówce, w związku z czym ta rozmowa miała już trochę inny poziom. Pan Profesor chciał przekazać coś takiego uczniom, co zostanie w ich

sercach i we mnie jego słowa o tym, że czasem musimy po prostu patrzeć na drugiego człowieka dalej rezonują i to było takie bardzo szczere, obiektywnie mówiąc był to najlepszy wywiad pod kątem rozmówcy.

Co chciałbyś przekazać osobom czytającym i wspierającym gazetkę?

Tu trzeba rozdzielić, na czytających i wspierających, bo te grupy niestety niezbyt się pokrywają. Ja odbieram to tak, że osoby wspierające to są po prostu działacze gazetki i chciałbym im powiedzieć, że teraz to będzie wasze, robicie z tym, co chcecie, to wy będziecie opisywać część szkoły w tej gazetce i tak jak to opisze, tak te czasy będą zapamiętane. Dobrze jest, jak włożycie w to część swojego serca. A czytelnikom chciałbym przekazać, że bez was tej gazetki by po prostu nie było, bo to Wy czytaliście te artykuły, oglądaliście komiksy, dawaliście feedback. Może tego nie widać z perspektywy czytelnika, ale jesteście bardzo ważną częścią i to jest bardzo ważne, że tworzycie de facto z nami ten „Dwutygodnik”. Mam nadzieję, że tradycja tego, że czytelnicy mają duży udział w gazetce będzie kontynuowana przez najbliższe lata i że gazetka nie będzie postrzegana jako czyjś prywatny folwark, tylko jako coś, co należy do uczniów.

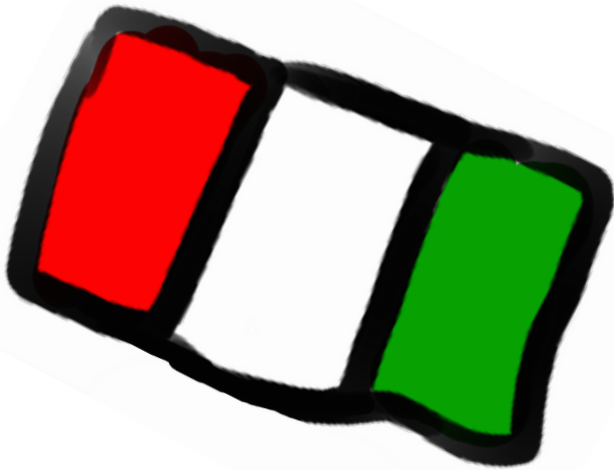
P.S. z tą krwią to oczywiście metafora!



Włochy czyli kultura, smak, styl

Milena Podolak

Witam wszystkich w kolejnym artykule z serii „Władek dookoła świata”! Dzisiaj wezmę na tapet **Włochy**, czyli jeden z najbardziej znanych krajów na świecie, po części dzięki kuchni, którą kochają ludzie z różnych części globu.



Skoro już mowa o kuchni, to gdy myślimy o Włoszech, pierwsze co przychodzi nam do głowy to **pizza**. Jednak czy zastanawialiście się kiedyś jak powstało to danie? Otóż pod koniec XIX wieku **Neapol** odwiedziła Małgorzata Sabaudzka, królowa Włoch. Nadworny piekarz przygotował na jej cześć placek, zdobiony dodatkami w narodowych barwach, jakie widnieją na fladze państwa, tj. bazylią, mozzarellą i pomidorami. W ten sposób powstała najprostsza pizza nazwana **Margheritą** – od imienia królowej.

Oprócz pizzy Włochy słyną również z **lodów**. To tam można znaleźć jedno z najlepszych lodów na świecie. Lody do Włoch przywiózł wenecki podróżnik Marco Polo. Wykradł recepturę z Chin (gdzie powstały pierwsze na świecie lody) i zaczął sprzedawać ją głównie cukiernikom z **Wenecji**. Bazowały one na śmietance i mleku. Natomiast we **Florencji** w 1536 r. Bernardo Buontalenti stworzył lody, które



oprócz mleka, zawierały również żółtka, miód, cytrynę, pomarańczę oraz bergamotkę. Receptura ta przetrwała, a lody o tym smaku można do dzisiaj kupić we florenckich lodziarniach.



Gdy słyszycie słowo „**moda**” to jakie miasto przychodzi Wam od razu do głowy? Wiele osób odpowiedziałoby, że Paryż. Jeszcze rok temu też miałam takie zdanie. Jednak spacerując ulicami **Mediolanu** odkryłam, że jest to miasto zasługujące na miano **stolicy mody**. Na każdym rogu są tam sklepy z ubraniami czy obuwiami. Sklepów spożywczych w centrum miasta praktycznie nie ma. Gdzie się nie obejrzymy, znajdziemy właśnie sklepy odzieżowe. Jeżeli w portfelu mamy trochę więcej pieniędzy, to zakupy

możemy zrobić w **Galerii Wiktora Emanuela II**. Znajdziemy tam takie marki jak **Gucci**, **Prada**, **Valentino** czy **Louis Vuitton**. Ale oprócz dosyć drogich zakupów, można zrobić tam również piękne zdjęcia. Z samą galerią wiąże się pewna historia. Otóż nad przebiegiem budowy czuwał włoski architekt Guseppe Mengoni, który zmarł w wyniku upadku z dachu, na dwa dni przed oficjalnym otwarciem galerii. Upadł dokładnie w miejscu, w którym dzisiaj widnieje mozaika z wizerunkiem byka.



Innym bardzo znanym włoskim miastem jest oczywiście stolica kraju – **Rzym**. Znajduje się tam jeden z siedmiu cudów świata współczesnego, czyli Koloseum. Dawniej był to amfiteatr, na którym odbywały się igrzyska czy walki gladiatorów. Dzisiaj jest to miejsce, które rocznie odwiedzane jest przez ok. 5 mln turystów. Budowla robi na żywo niesamowite, wręcz przytłaczające wrażenie. W końcu prawie 50 m wysokości to jest dosyć dużo ;) A tuż obok **Koloseum** znajduje się Forum Romanum – najstarszy plac miejski w Rzymie. Odbywały się tam najważniejsze uroczystości publiczne. Niestety większość budowli, znajdujących się na **Forum Romanum**, nie przetrwało w całości do naszych czasów.

A teraz czas na nowość, czyli „Ciekawe Ciekawostki”. Od teraz w każdym artykule będzie pojawiać się 6 randomowych ciekawostek dotyczących danego państwa.

Zaczynamy od 6 randomowych włoskich ciekawostek :D

1. Dla Włochów pechowym numerem jest 17, zaś 13tka uważana jest za szczęśliwą.
2. Włosi produkują największą ilość win na świecie.
3. W kraju tym żyje ok. 13 tysięcy ponad stuletnich kobiet.
4. Według statystyk jedna osoba czyta tam średnio 48 minut dziennie.
5. Najdłuższe włoskie słowo to „precipitevolissimevolmente” i oznacza „bardzo gwałtownie”.
6. Statystyczny Włoch spożywa rocznie nawet 25 kg makaronu.

Mam nadzieję, że miło spędziliście czas czytając ten artykuł. Życzę wszystkim udanego dnia i do zobaczenia w następnej władysławiackiej podróży!

Artystyczna strona Władka

Aleksandra Zieniewicz

Hejka! Kolejny numer, a ja przychodzę do Was z kolejnym wydarzeniem artystycznym, które opisuję co prawda z lekkim opóźnieniem, ale przecież każdy, kto widział, chętnie przypomni sobie te chwile, prawda? No właśnie.

20 października, czyli prawie miesiąc temu znana Wam już Grupa Teatralna „Bez”, pod kierunkiem Pani Profesor Bożeny Cacko wystawiła kolejną sztukę. Trzeba przyznać, że okryli się już niemałą sławą, a słuchy i plotki zaczęły krążyć, bo poza uczniami i profesorami naszej szkoły pojawili się także rodzice, rodzeństwo, znajomi i długo byłoby wymieniać, kto jeszcze. Poprzestańmy więc na tym, że spektakle ściągają coraz więcej ludzi i, wierzcie mi, jest na co przychodzić.

Październikowa sztuka, o majestatycznym tytule „Księżę Egiptu” była całkowicie, absolutnie i bezsprzecznie cudowna. Wartka akcja zapisana w scenariuszu, podejmująca wiele wątków została bardzo profesjonalnie pokazana na scenie. Aż ciężko było przetrwać 10 minut przerwy, aby obejrzeć od razu całość.

Przede wszystkim muszę pochwalić zaangażowanie włożone w odgrywane role. Naprawdę każdy z aktorów wyglądał tak, jakby był tą postacią, a nie zwykłym uczniem Władka uczęszczającym na zajęcia teatralne. Pełny profesjonalizm. Brawo! Poza tym, co się składa na dobry spektakl? Scenografia. Tutaj znowu ktoś stanął na wysokości zadania i wszystko było dopracowane idealnie, ze szczegółami. Również ogromne gratulacje z mojej strony.

Cały klimat przedstawienia, opracowanie techniczne światła, dźwięku i kurtyny ;) naprawdę nie było nic do zarzucenia, a więc wszyscy techniczni Grupy Teatralnej „Bez” niech przyjmą oklaski, bo manipulowanie tym wszystkim do najłatwiejszych przecież nie należy.

W każdym aspekcie wydarzenie było niesamowite, a wrażenia po nim zostaną ze mną na długo, dlatego jeszcze raz ogromne gratulacje dla każdego z osobna i wszystkich razem, a szczególnie dla Pani Profesor Cacko. Brawo!

Ale, ale...! Nie wstawię tu tylko swojej opinii, ale zebrałam także wrażenia innych widzów, aby je Wam przekazać. Więc oto one:

„Bardzo nam się podobało, widać, że wszyscy włożyli w to bardzo dużo pracy i zajęło to pewnie mnóstwo czasu, mnóstwo poświęcenia. Przygotowania musiały być bardzo intensywne, więc tym większe brawa dla aktorów, technicznych, no ogólnie dla wszystkich, którzy się czymś zajmowali.”

„Moim zdaniem jedną z najlepszych ról zagrała Sefora, mimo, że siedziałam z tyłu sali, słyszałam każde słowo wyraźnie, więc brawo za dykcję. Oprócz tego bardzo wciągnęła mnie fabuła spektaklu i oczarowała mnie wręcz wielowątkowością, która sprawiła, że czułam się niemal jak oglądając ekranizację, któregoś z dramatów. Absolutne gratulacje dla scenarzysty!”

Oczywiście najciekawsze po takim wydarzeniu są odczucia aktorów. Czy są zadowoleni? Jak według nich wyszło? A może bardzo się stresowali? Dla wszystkich ciekawych odpowiedzi, na te pytania zapytałam kilka osób z obsady przedstawienia, a w tym aktorów głównych ról – Andrzeja Lichacza, odtwórcy roli Mojżesza, Stanisława Szymańskiego, który grał Ramzesa, oraz Marię Zieniewicz, która pojawiła się jako Sefora. Mam także odpowiedzi od kapłanki - Karoliny Przybylskiej oraz Anieli Boruckiej - Królowej.

Czy jesteś zadowolona/y z występu? Dlaczego tak lub nie?

Maria Zieniewicz: Tak, jestem bardzo zadowolona, że wszystko się udało. Cieszę się, że nasza praca i poświęcony czas nie poszły na marne i wszystkim się podobało.

Karolina Przybylska: Tak, jestem bardzo zadowolona, moim zdaniem wyszło nam świetnie! Biorąc pod uwagę, że w trakcie prób pojawiały się jakieś drobne błędy, jestem dumna z całej ekipy, bo naprawdę chyba nikt się nie pomylił.

Aniela Borucka: Wyszło cudownie, jestem bardzo zadowolona z tego jak wyszło, szczególnie, że włożyliśmy w to dużo pracy i czasu.

Stanisław Szymański: Chyba tak, chociaż wiem, że mogłem poradzić sobie zdecydowanie lepiej. Słyszałem wiele pozytywnych opinii, ale pojawiły się też negatywne np. to, że byłem niewyraźny, a jest to jeden z najpoważniejszych błędów. Sam ruch sceniczny i ekspresja emocji na pewno też mogły być lepsze, ale na wtedy było to dla mnie 100%, zwłaszcza, że byłem lekko chory.

Andrzej Lichacz: Tak, jestem bardzo zadowolony, bo sporo nad tym pracowaliśmy i cieszę się, że się udało. A poza tym, wiedziałem, że będzie fajnie, bo przecież jesteśmy super!

Lubisz postać, którą grasz? Co Ci się w niej podoba?

MZ: Tak, lubię jej temperament i cieszę się, że w naszym przedstawieniu Sefora występowała częściej niż w oryginalnym filmie.

KP: Tak. Bardzo lubię być kapłanką, dużo dopowiada, a jednocześnie jest w swoich wypowiedziach ironiczna i bardzo charakterystyczna.

AB: Tak, uwielbiam królową, jest bardzo majestatyczna, a jednocześnie czuła i wrażliwa. Bardzo ciekawie było wcielić się w taką interesującą osobę, jaką jest żona Setiego.

SSz: Rola Ramzesa jest bardzo ciekawa. Jest jednocześnie twardym władcą, na którym spoczywa wielka odpowiedzialność i zwykłym człowiekiem, chcącym się trochę pobawić i prowadzić normalne życie. Lubię go grać, bo mogę sobie bezkarnie pokrzyknąć na scenie ;)

AL: Tak, lubię Mojżesza, bo jest postacią wieloaspektową, jak prawdziwy człowiek.

Czy bardzo stresujesz się podczas występu, a może w świetle reflektorów czujesz się jak ryba w wodzie?

MZ: Wydaje mi się, że tak jak każdy aktor, trochę tak, ale nie za bardzo. Na tyle, że pomaga mi się to skupić.

KP: Prawie wcale, myślałam, że skoro występuję po raz pierwszy, będzie dużo więcej stresu i nerwów, ale nie. Publiczność jest naprawdę cudowna i wyrozumiała, więc nie ma powodu do stresu.

AB: To są niesamowite emocje, ci wszyscy ludzie, którzy na Ciebie patrzą, to jest nie do opisanego, ale czułam się wspaniale. To moja pierwsza rola, ale już wiem, że uwielbiam grać!

SSz: Zazwyczaj się nie stresuję, ewentualnie trochę podczas premiery, ale wtedy też biorę pod uwagę to, że jest to zabawa i nawet gdyby coś nie wyszło, to i tak później będziemy się z tego śmiać. Przy tym drugim wystawieniu „Księcia Egiptu” zupełnie się nie denerwowałam, musiałem tylko wyjść na scenę i dać z siebie wszystko.

AL: Nie, grałem Mojżesza już drugi raz, więc czułem się znacznie pewniej. Poza tym, ważne, żeby jak się pomylił iść dalej, jakby nic się nie stało.

Co czułaś/eś, gdy w pierwszej granej przez siebie scenie spojrziałaś/eś na widownię?

MZ: Najpierw byłam zaskoczona przed jak dużą publicznością przyszło nam grać. Nie spodziewałam się pełnej auli w piątek o 18.00. Jednak chwilę później skupiłam się na tym, żeby dać z siebie wszystko.

KP: Troszkę pojawił się stres, ale bez przesady, bo publiczności zbyt nie widać przez światła. Ale no troszeczkę było.

AB: Cudownie, to był ten moment, kiedy mogłam po prostu poczuć się, jak profesjonalna aktorka. Widowni nie było dokładnie widać, tylko czarna masa, odcinająca się od reflektorów.

SSz: Szczerze mówiąc, to chyba nic. Zazwyczaj nie patrzę na widownię, aby się nie rozpraszać, a nawet jeśli, to prawie nic nie widać przez światła świecące prosto w twarz.

AL: Właściwie to chyba nic. Po prostu musiałem wyjść i zagrać, ale widowni nie widziałem przez światła.

Może ktoś z Was, drodzy czytelnicy chciałby spróbować swoich sił na deskach, za czerwoną kurtyną? W takim razie myślę, że po przeczytaniu wypowiedzi naszych niezastąpionych aktorów pozbyliście się wszystkich wątpliwości i na następnym przedstawieniu spojrzycie na publiczność z tej... nieco innej strony.

Z niecierpliwością czekamy na następne przedstawienie Grupy Teatralnej „Bez”!

Siatkarski update

Kinga Topczewska

Jakiś czas temu pożegnaliśmy się z sezonem reprezentacyjnym. Jedyną ważną informacją, którą trzeba znać zanim przejdziemy do informacji z rozgrywek ligowych jest to, że najlepszym zawodnikiem roku 2023 według siatkarskiego portalu Volleybox.net został atakujący naszej reprezentacji – Łukasz Kaczmarek. W pierwszej dziesiątce tego rankingu znaleźli się też: Wilfredo Leon (przyjmujący) i Paweł Zatorski (libero). Od października można śledzić występy naszych rodaków – i nie tylko – w rozgrywkach ligowych. Polacy grają w przeróżnych ligach – głównie w polskiej (PlusLidze), ale i w tych zagranicznych (przeważnie we Włoszech i Japonii).

Warto również wrócić pamięcią do początku ubiegłego miesiąca, gdy rozpoczęła się żeńska liga w Polsce – Tauron Liga. Pierwszy mecz odbył się 8 października i został rozegrany pomiędzy KS Pałac Bydgoszcz i PGE Rysice Rzeszów. Rzeszowianki wygrały to spotkanie 3:0. W tym roku do grona klubów dołączyła nowa drużyna: ITA TOOLS Stal Mielec. Ważnym dniem w siatkówce płci pięknej był 25 października. Odbył się wtedy AL-KO Superpuchar Polski Kobiet w Łodzi. W tej prestiżowej imprezie rywalizowały zawodniczki ŁKSu Commercecon Łódź i Grupa Azoty Chemiku Police. Nie była to długa rozgrywka, ponieważ trwała tylko 4 sety. 3:1 zwyciężył Chemik. Radość jego reprezentantek była ogromna. A MVP spotkania została Martyna Łukasik i w nagrodę oprócz statuetki dostała kosiarkę. Obecnie dalej trwają zmagania w Tauron Lidze. Polecam oglądać mecze i na bieżąco śledzić wyniki poszczególnych zespołów lub obserwować jej profil na Instagramie (@tauronliga).



Z kolei w drugiej połowie października rozpoczęły się rozgrywki polskiej ligi mężczyzn. W tym sezonie, do tej grupy klubów dołączył KS Norwid Częstochowa. PlusLigę rozpoczęło starcie Stali Nysa i Jastrzębskiego Węgla. Pierwszy punkt tego sezonu zdobył Tomasz Fornal. To spotkanie wygrali obecni mistrzowie Polski (JW) 3:0, a MVP został Norbert Huber, który zadebiutował w tej drużynie (w poprzednim roku grał w zespole z Kędzierzyna-Koźła). Wartym zapamiętania dniem męskich rozgrywek niezaprzeczalnie był 3 listopada br. Odbył się wtedy AL-KO Superpuchar Polski. O główną nagrodę walczyły dwa zespoły: Jastrzębski Węgiel i Grupa Azoty ZAKSA Kędzierzyn-Koźle. Te zmagania, w porównaniu do meczu kobiet, były bardzo długie. Potrzebne było aż pięć setów, żeby wyłonić zwycięzcę! Pierwsze dwa wygrał zespół z Jastrzębia-Zdroju. Trzeci również wyglądał jakby mieli go zgarnąć Jastrzębianie. Lecz na boisku po stronie Zaksy pojawił się osiemnastoletni Rumun – Daniel Chitigoi, który nagle odmienił losy rozgrywki. Ten i następne dwa sety wygrała drużyna z Kędzierzyna-Koźła, co spowodowało, że puchar trafił do Zaksy. MVP meczu został Bartosz Bednorz. Przy odbiorze trofeum, dzięki uprzejmości i cudownej

postawie kapitana zespołu – Olka Śliwki, był obecnie kontuzjowany zawodnik – Wojciech Żaliński. Nawiązując do problemów zdrowotnych warto wspomnieć, że aktualnie w drużynie znajduje się pięciu kontuzjowanych zawodników (w tym dwóch rozgrywających, przez co do składu musiał dołączyć nowy gracz – Radosław Gil). Dużo zdrowia dla nich! 10 listopada poznaliśmy też planowaną datę spotkań podczas Pucharu Polski Mężczyzn. Ten turniej odbędzie się w dniach 2-3 marca 2024 roku.

Jak widać, w siatkarskim świecie wiele się dzieje, a nasi zawodnicy pokazują się ciągle z dobrej strony! Mecze wszystkich lig przynoszą wiele emocji, ale i powodują sensacje wśród kibiców. Ciekawe co przyniesie najbliższy czas...



Warto również zwrócić uwagę na dobre występy reprezentantów naszego kraju za granicą. We Włoszech Supercoppę wygrała drużyna z Perugii (Sir Safety Perugia). W tym zespole grają nasi dwaj zawodnicy: Wilfredo Leon i Kamil Semeniuk. Z kolei tę samą rywalizację wśród kobiet wygrały siatkarki Prosecco DOC Imoco Volley. MVP tego meczu została Joanna Wołosz – rozgrywająca reprezentacji Polski oraz kapitan włoskiego zespołu. Inne Supercupy zdobyte przez Polaków to: niemiecki – Adam Kowalski (BR Volleys) i rumuński – Dawid Woch (Arcada). Imponujące statystyki w październiku wyrobiła też Magdalena Stysiak (atakująca reprezentacji Polski), która gra w tureckiej drużynie Fenerbahce. Stysiak w tamtym miesiącu zagrała 19 setów, zdobyła 118 punktów, skończyła 106/215 piłek (49% w ataku), wykonała 6 asów serwisowych i 6 punktowych bloków.

Mistrz świata, który bał się KGB, czyli historia legendarnego Bobby'ego Fischera

Andrzej Woźniak

Robert James Fischer, znany także jako Bobby Fischer, urodził się 9 marca 1943 r. w Chicago. Jego matką była Regina Fischer, ojcem natomiast... i już nawet tutaj pojawiają się komplikacje, choć najprawdopodobniej był nim węgierski fizyk Paul Nemenyi, z którym Regina wdała się w romans. W domu Fischerów panowała bieda, ale udawało się im przeżyć z dnia na dzień. W wieku 6 lat mały Robert poznał szachy dzięki grze z siostrą.

Spędzał w domu długie godziny na doskonaleniu technik triumfu, a później został

zapisany do klubu szachowego. Rozwijał się, aż w końcu trafił pod skrzydła amerykańskiego mistrza Jacka Collinsa. Udostępnił on Robertowi wiele książek, które posiadał, a Fischer chłonał z nich wiedzę jak gąbka, ćwicząc czasem nawet po 10 godzin dziennie.

Nasz szachista grał przeciwko coraz starszym i bardziej doświadczonym zawodnikom. Mając 13 lat zagrał przeciwko Donaldowi Byrne'owi, który w tamtym momencie znajdował się w dziesiątce najlepszych graczy w USA. Wtedy to rozegrała się jedna z najbardziej widowiskowych gier w historii szachów, nie bez przyczyny zwana „partią stulecia”. Fischer dokonał kalkulacji niesamowitej kombinacji ruchów (m.in. poświęcając hetmana), która przyniosła mu sławę na całym świecie.

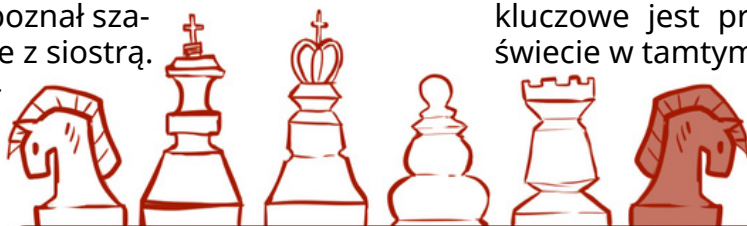
Bobby miał przed sobą świetlaną przyszłość. Kiedy miał 14 lat został mistrzem USA, a rok później arcymistrzem, co uczyniło go wtedy najmłodszą osobą z takim tytułem w historii. Wszystko po to, aby w 1972 r. w „meczu stulecia” pokonując Borysa Spasskiego, sięgnąć mistrzostwo świata.

By zrozumieć powagę wydarzenia, jakim było wywalczenie tytułu przez Bobby'ego, kluczowe jest przyjrzenie się sytuacji na świecie w tamtym czasie. Trwała zaciepła rywalizacja, niemal na wszystkich polach, pomiędzy USA a Związkiem Sowieckim. Nie

inaczej było z szacha-

mi, w końcu dyscyplina ta była bastionem Sowietów — od 1948 r. nieprzerwanie byli oni mistrzami świata. Pokonanie ZSRR w ich własnej ukochanej grze miało znaczenie symboliczne — triumfu kapitalistycznego supermocarstwa nad drugim – komunistycznym. W ten sposób Fischer stał się amerykańskim „bohaterem narodowym”, a szachy w Stanach Zjednoczonych nigdy nie cieszyły się aż tak wielkim zainteresowaniem jak wtedy.

Nie oznacza to jednak, że Bobby był lubiany jako osoba. No nie był, delikatnie mówiąc. W dużej części przyczyniły się do tego jego „lekko” kontrowersyjne opinie, między innymi o kobietach w szachach lub o Żydach. Nie będę ich przytaczał w tym artykule, niemniej jednak należy o nich choćby wspomnieć w ramach dziennikarskiej rzetelności. Nie pomagała



także jego ciągle narastająca paranoja. Głęboko wierzył w to, że FBI, Mossad czy też KGB chcą go „dopaść”. Odmówił obrony tytułu w 1975 r., wierząc, że przygotowywany był zamach na jego życie.

Potem było tylko gorzej. Fischer zmienił się nie do poznania. Będąc cieniem samego siebie sprzed lat, podupadał na zdrowiu zarówno fizycznym, jak i mentalnym. Został nawet aresztowany przez kalifornijską policję, która pomyliła go z kimś innym — nie poznali niegdysiejszego czempiona. Przez dwadzieścia lat nie grał publicznie w szachy — jego powrót nastąpił w 1992 r., gdy zdecydował się na rozegranie meczu ze swoim nemezis — Borysem Spasskim, dokładnie tym samym, od którego przejął światowe mistrzostwo. To starcie było jednak nielegalne. Otóż problemem było to, że miejscem tej jakże legendarnej potyczki miała być Jugosławia. Ważnym jest, by nadmienić, że była ona rozdarta krwawą wojną domową w tamtym czasie, a USA nie mogło ingerować w jakikolwiek sposób w działania w tym regionie. Fischerowi za rozegranie tej partii groziło nawet 10 lat pozbawienia wolności, ale czy myślisz czytelniku, że był on osobą, którą by to obchodziło choćby w najmniejszym stopniu? Przybył, zobaczył i zwyciężył, a potem uciekł do Japonii, żeby nie ponieść odpowiedzialności karnej. Nie zakończyło się to sukcesem — został tam aresztowany. Ostatecznie został obywatelem Islandii i tam dożył końca swoich dni w odosobnieniu, będąc postrzeganym jako szaleniec i banita. Zmarł 17 stycznia 2008 r.

Bobby Fischer jest dla mnie niezwykle fascynującą postacią i myślę, że nie tylko dla mnie. Pomimo jego kontrowersyjnych tez czy też jego upadku, nie byłoby dzisiejszych szachów bez niego.

Przygody Pana Jerzego - Część 2

Monika Helena Bitner

Jutro

W 1939 r. Jerzy Walerian Skolimowski jeździł do Nowego Jorku realizować projekt polskiego pawilonu na Wystawie Światowej. Projektował także lotnisko w Warszawie – tylko że tego przedsięwzięcia już nie zrealizował, bo nadszedł wrzesień. W związku z tym, zaciągnął się i walczył w kampanii obronnej. Dostał się do niewoli rosyjskiej, ale udało mu się uciec, więc podobnie jak wielu innych żołnierzy wtedy, przez Węgry i Jugosławię (swoją drogą w Tokaju – wiecie, tam, gdzie produkuje się to wino – był internowany, ale kolejny raz zdołał uciec) ruszył do Francji. Nim Niemcy zdobyli Paryż zdążył zasłużyć na Virtuti Militari, dając przykład męstwa bojowego u boku gen. Prugara-Ketlinga we francuskich Wogezach. Noo, ale cóż, Pettain skapitulował, a nasz bohater znów został uwięziony, tym razem w Szwajcarii... i znowu zwiął! Tu wreszcie skończyło się beznadziejne pasmo jego aresztowań i ucieczek. Skolimowski zawędrował ostatecznie do Palestyny, gdzie wstąpił w szeregi Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, więc domyślcie się już pewnie, co robił następnie. Tobruk! Tak jest, tam też służył nasz Władysławiak. Z Libii z kolei „Mały” (taki przybrał pseudonim) udał się do Ugandy, w której przebywały tysiące polskich uchodźców podążających za Andersem. Jerzy zobaczył, że jest sposób, w jaki mógł im pomóc – wykorzystać swoje architektoniczne zdolności i zaprojektować dla nich obóz-miasto. Jak postanowił, tak zrobił. Ale, ale, to nie wszystko, ponieważ w międzyczasie... badał z przyjaciółmi górskie szczyty Ruwenzori! Odkryli tam nawet i nazwali dwa jeziora.

Gdzie nie był, czego nie widział! W końcu

szlak bojowy zawiódł go z powrotem do Europy. Na Wyspach Brytyjskich związał się z Secret Intelligence Service i jako porucznik George Deen został, po ukończeniu kursu spadochroniarskiego, zrzucony do Grecji i przygotował teren pod desant Drugiej Brygady Brytyjskiej, co docenili Anglicy — po 1945 r. został nagrodzony Kings Medal of Courage.

Pojutrze

W pierwszej klasie nauczyliśmy się o Cyncynacie – człowieku, który w czasie wojny przejął dowództwo nad rzymskimi legionami i ocalił Republikę, ale po wszystkim najzwyczajniej w świecie powrócił do swojego domu i spokojnie uprawiał swoje ziemie. To mi trochę przypomina historię Skolimowskiego — tak jak całym sercem angażował się w walkę o wolność, tak po wszystkim zwyczajnie poświęcił się temu, czym żył dawniej. Przebywając na emigracji w Londynie porzucił kajakarstwo i sport, za to w pełni oddał się architekturze. W 1950 r. został przyjęty do Society of British Industrial Art, gdzie projektował pałace dla szejków czy rezydencje i muzea w RPA. Przy tym wszystkim George Skolly (to dla Anglików, wiecie, „Skollymołski? How do you pronounce that?”) nie zapomniał o swojej ojczyźnie — był patriotą na miarę ówczesnej sytuacji. W Londynie wykładał na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie, a jeszcze w 1944 r. zaczął wraz z Wacławem Hryniewiczem prace nad projektem słynnego Polskiego Cmentarza Wojennego na Monte Cassino – w końcu był żołnierzem II Korpusu Polskiego. Zmarł mając 78 lat, z dala od kraju, w stolicy Wielkiej Brytanii, ale w końcu, po niemal pół wieku tułaczki, trafił ostatecznie do swojego kraju oraz rodziny i obecnie spoczywa na Powązkach.

Ciekawy budynek i ciekawi ludzie

Syn Architekta

Czy zastanawiałeś się kiedyś czemu Władek ma w opisie na Wikipedii, że jest budynkiem wczesnomodernistycznym, mimo iż nie stał nawet koło Bauhausu? Albo czy konsternowała Cię wszechobecność drewnianych lamperii płycinowych (wiem, że to nic Ci nie mówi, więc dla uproszczenia nazwijmy to drewnianymi obiciami) na praktycznie wszystkich narożnikach w szkole? Jeśli nie, to nie znajdziesz tu nic, co mogłoby Cię zaciekawić... Ale możesz podjąć ryzyko godne hazardzisty i i tak podjąć się czysto ciekawostkowych rozważań o architekturze naszej wspaniałej placówki.

Nasze liceum jest jednym ze starszych w Warszawie, gdyż jest z nami w dosyć zachowanej formie już od roku 1907. Było bezsprzecznie architekturą wzorową i nowoczesną w czasach powstania dzięki takim bajerom jak na przykład klimatyzacja. Żeby jednak nie przynudzać, bo nie po to się tu wszyscy zebraliśmy — omówmy wczesnomodernistyczny aspekt gmachu Władka, ponieważ skłamałbym pisząc, że nie ma żadnych detali dla niego charakterystycznych, pomimo opinii Pani Marty Leśniakowskiej — historyczki architektury specjalizującej się w modernizmie, według której „Architektura Modernistyczna w Polsce zaczęła się w 1918 roku”. Odpowiedzmy sobie na pytanie skąd teza, że budynek kwalifikuje się jako jedna ze zbudowanych w tym stylu. Wynika to najprawdopodobniej z planu rozmieszczenia sal, który jest wspólny dla architektury wyżej wymienionej oraz secesyjnej. Drugim aspektem może być asymetria budowli. Z kolei wszystkie inne kwestie takie jak piękne, zabytkowe ryzality, rozstaw okien, legendarny orzeł na fasadzie oraz

e szkolne narożniki wskazują na secesyjny charakter placówki. Należy przypomnieć, że rozkwit popularności tego stylu na świecie przypadał właśnie na pierwszą dekadę XX wieku. Te odeskowania to najprawdopodobniej symboliczne zabezpieczenie ukazujące, gdzie znajdowały się charakterystyczne dla secesji zaoblenia narożnikowe. Czujniejszy obserwator zauważy, że część z nich jest niezakryta i możemy je podziwiać do dziś. Czy jest to informacja, która Cię usatysfakcjonuje? Możliwe...

Podsumowując, trudno stwierdzić, czy Władek jest wczesnomodernistycznym budynkiem z elementami secesji, czy raczej wyjątkowym zabytkiem architektury secesyjnej z modernistycznymi rozwiązaniami przestrzennymi. Po konsultacji z rodzicem architektem przychyliam się ku tej drugiej opcji, ale nie zmienia to faktu, że drewniane obicia w naszej szkole to ciekawy detal, którego na co dzień nie zauważamy, a jest częścią naszej wspaniałej szkoły.

„Zanim wystygnie kawa”

Toshikazu Kawaguchi



Zaczarowana Zakładka

Witajcie drodzy miłośnicy książek! Kiedy za oknami robi się coraz bardziej szaro, buro i ponuro, a nauczyciele nie szcędzą wam rozrywek takich jak sprawdziany czy kartkówki, większość z nas marzy, by zakopać się pod kocem z dobrą lekturą i już nigdy nie wychodzić. Przychodzę więc do Was z propozycją niezmiernie przyjemnego utworu, który idealnie sprawdzi się jako alternatywa dla listopadowego chaosu.

Co byście zrobili, gdybyście mogli cofnąć się do jakiegoś momentu w przeszłości? Z kim byście się spotkali? Krążą pogłoski, że w pewnej kawiarni w Tokio niektórzy stają przed takim wyborem. Dla nich to, co jest nieprawdopodobne staje się możliwe. Jest wiele warunków, ale jeden najważniejszy: musisz wrócić, zanim wystygnie kawa.

Książka jest relatywnie krótka, składa się z czterech opowiadań, a każde z nich mówi o innej osobie. Spotkanie z ukochanym z przeszłości, kimś, kto stracił pamięć, siostrą i córką — to historie, które mamy okazję poznać na przestrzeni tego dzieła. Wszystkie są na swój sposób wzruszające i pokrzepiające.

„Zanim wystygnie kawa” jest ogromnie klimatyczną pozycją, pełną ciepła. Otula czytelnika niczym ukochany kocyk. Bohaterowie są wręcz kochani, wprost ich uwielbiam! Czyta się ją bardzo szybko, a ja sama nie mogłam się od niej oderwać. To idealna lektura na zastój czytelniczy. Jeśli pragniecie zacząć swoją przygodę z literaturą wschodnioazjatycką, to jest to świetna książka dla Was. Gwarantuję Wam, że zdecydowanie zachęci was do przeczytania innych dzieł z tego kanonu.



Pokochałam ten zbiór opowiadań i mam nadzieję, że Wy będziecie czuli to samo! Chociaż minęło już trochę czasu od kiedy po niego sięgnęłam, nadal nie przestałam o nim myśleć. W najbliższych miesiącach koniecznie chcę poznać następne części, a na półce czeka na mnie już od dłuższego czasu „Fotograf utraconych wspomnień”, który jest tematycznie podobny do książki Kawaguchiego.

Zmiany w gazetce, czyli czas na trójpodział władzy

Amadeusz Kozikowski

W marcu 2022 roku powstał „Dwutygodnik Nieobiektywny”. Na początku wydawany był co dwa tygodnie, z czasem przekształcił się w miesięcznik, ale nazwa pozostała i pozostanie niezmienna. Niezmienna pozostawała też osoba pełniąca funkcję Redaktora Naczelnego. Był nią Wiktor Kucharski, założyciel gazetki, z którym wywiad znajduje się w dalszej części wydania. Opisał tam kulisy powstawania tego szkolnego medium i jego pracy w gazetce. Osobiście bardzo podziwiam, ile trudu i pracy włożył w założenie „Dwutygodnika Nieobiektywnego” oraz doprowadzenie do momentu, w którym teraz się znajduje. Natomiast 1 listopada ze względu na zbliżającą się maturę postanowił przeprowadzić wymianę pokoleniową w strukturach Kółka Dziennikarskiego. Tym oto sposobem zaszczytna funkcja pełniona dotychczas przez Wiktora przypadła mnie. Jednocześnie zmienił się regulamin i można powiedzieć, że władza w gazetce będzie trochę kolegialna. Wiceprzewodniczącymi zostały Milena Podolak z 2B oraz Marysia Słowiańska z 2F i wspólnie będziemy podejmować decyzje dotyczące funkcjonowania Kółka. Mamy również rozdzielone zadania, by nie wszystko skupiało się wokół jednej osoby, bowiem – jak to się mówi – co trzy głowy, to nie jedna. Jakie mamy plany? Oczywiście działanie dla Was, ponieważ gazetka bez czytelników jest przecież bezużyteczna. Dlatego chcemy cały czas rozwijać wydania, żeby jak najwięcej Władysławiaków znalazło w nich coś dla siebie. Będziemy również w większym

wymiarze starali się angażować Was do jakichś akcji, by nie żyć tylko od wydania do wydania, ale cały czas aktywizować szkolną społeczność. Jednym z najważniejszych celów jest oczywiście rozbudowanie struktur Kółka Dziennikarskiego, żeby gazetka była cały czas wydawana, nawet kiedy sami opuścimy już szkolne mury. Tutaj od razu wypada wystosować apel do wszystkich, którzy zastanawiają się nad tym, czy nie spróbować pisania, redagowania, robienia grafik albo innych rzeczy związanych z gazetką. Zachęcamy do dołączenia do nas, by wspólnie dbać o nasze szkolne dobro, jakim jest „Dwutygodnik Nieobiektywny”. Jesteśmy otwarci na wszystko, co oczywiście nie jest zakazane regulaminem.

Dziękujemy Wiktorowi za powierzone nam zaufanie, mamy nadzieję, że będzie zadowolony z tego, jak potoczą się losy gazetki. Postaramy się, aby działało się jak najlepiej!

WŁADYSŁOWA

„No ekonomistów z was nie zrobię.”

Prof. Cegłowska

„Nowe pokolenie co 20 minut... czujecie to?”

Prof. Tomalak

„Suwerenność jest jak cięża. Albo się w niej jest, albo nie. Nie można być trochę w ciąży.”

Prof. Rojewska

„Ale tu się dużo nie przygotowało. I dużo nie przyszło. Z kim ja mam pracować?”

Prof. Bednarski

„Na tej lekcji rozmawia się ze mną albo wcale.”

Prof. Dziarkowska

„Nie dajcie się namówić jak ktoś powie: e, jaką masz fajną łapę, posiłuj się”

Prof. Paszkiewicz

Uczeń: Nie rozumiem „TY NIEPONIMAJESZ?!”

Prof. Niekrasowa

„Nie mówcie mi, że nie mówiłam o tym na lekcji, bo ja wiem, że nie mówiłam. A dlaczego jest na sprawdzianie takie zadanie? Bo jak ktoś jest inteligentny, to je robi.”

Prof. Dziarkowska

„Wszystko się rusza, moje ciśnienie też się rusza”

Prof. Podołowski

„Długość spodni jest proporcjonalna do rozumu.”

Prof. Przeniosło

„Puk! Puk! To wiedza puka, otwórz drzwi.”

Prof. Czujkiewicz-Rasztawicka

„Grasz w szachy, a tego nie rozumiesz?”

Prof. Chmurska

„Wykorzystałam swoją przewagą nauczyciela, bo wy to teraz musicie przepisać. Życie jest ciężkie.”

Prof. Przeniosło

„OC, czyli każdy z nas ponosi odpowiedzialność cywilną, na przykład gdy moje doniczki spadną komuś na głowę, bo nie zabezpieczyłam przedmiotów posiadających potencjalne właściwości latające lub jeżeli służbowy pendrive ze szkoły radośnie sobie zgubię, to ubezpieczyciel wypłaci odszkodowanie.”

Prof. Rojewska

„Nie czytacie artykułów w gazetkach?!
OMG I'm devastated.”

Prof. Kubik

„Kwas cyjanowodorowy inaczej kwas pruski. Ale sole kw.cyjanowodorowych to cyjanki... nie prusanki.”

Prof. Bednarski

„Hmm ok. Poziom cringe'u wszystkim wzrósł.”

Prof. Żółkoś

„Krzysztof, my Cię wychowamy, ale to jest proces długotrwały.”

Prof. Przeniosło

„Możecie robić wszystko, oprócz niebezpiecznych rzeczy. Najlepiej uczcie się matematyki.”

Prof. Dziarkowska

„Czyli eliminuję te dzieci, które czerwonych czapeczek nie mają.”

Prof. Przeniosło

„Ja nie zatrudniłam się w Komisji Śledczej Władysława IV, tylko Liceum Władysława IV.”

Prof. Przeniosło

„Wasza wiedza jest powalająca, zaraz padnę trupem.”

Prof. Kossacka

„To wiedza praktyczna i przydatna, czyli coś, czego raczej nie ma w szkole.”

Prof. Kofta

„Zdrowia życzę osobom, które CIĘŻKO CHORUJĄ dzień przed klasówką.”

Prof. Przeniosło

„Schowaj ten telefon, bo ja Ci go zarekwiruję i wrzucę do kwasu solnego.”

Prof. Chmurska

„Nie mogę tego tu wstawić, bo bym dzieliła przez zero, a to jest KARALNE.”

Prof. Przeniosło

„Ludzie niezwykli mają w sobie coś niezwykłego.”

Prof. Romska

„Jak nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o kobiety.”

Prof. Chmurska

„Ojej... wlałam wodę do kwasu. Ale żyję. Widzicie, elektryka prąd nie tyka.”

Prof. Bednarski

„Jeszcze wcześniej, nie myślcie o maturze, ale na maturze będzie.”

Prof. Dąbrowska

„Pobudka! To nie polski, że można spać.”

Prof. Przeniosło

„Wolność nie oznacza, że możemy robić to co chcemy, tylko że możemy robić to co powinniśmy.”

Prof. Dziarkowska